

BOHDAN

PETECKI

X-1, uwolnij gwiazdy!...



Bohdan Petecki

X-1, UWOLNIJ GWIAZDY!...

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-89-8

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Nasza Księgarnia, Warszawa 1977

seria „Klub Siedmiu Przygód”

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

SPIS TREŚCI

LEONARDO, BŁĘKITNA I...

SŁOMIANY KOGUCIK

ŚLADY WŚRÓD GWIAZD

S.O.S.

NIE WYCHODŹ Z KABINY...

PORWANIE

KWIATY DLA ANNY

CAŁKIEM NOWY FILM

LEONARDO, BŁĘKITNA I ...

Spójrz, chlubo rodziny – odezwał się Adam – jesteście na miejscu. – Mrugnął porozumiewawczo na Darka, po czym odwrócił głowę i przykleił nos do szyby iluminatora. – Przyjrzyj się dobrze – dodał po chwili – oto pole twojej sławy i chwały. Tu przejdziesz do historii jako gwiazdor wszechczasów.

Darek najchętniej puściłby mimo uszu te słowa wypowiedziane tonem doszczętnie wypranym z szacunku należnemu bohaterowi poważnej, bądź co bądź, filmowej przygody, ale ciekawość przemogła. Zresztą w ciągu kilku tygodni, które spędzili razem, chłopiec nauczył się wybaczać temu swojemu najdziwniejszemu ze stryjów jego rozliczne fanaberie i niezdolny sposób mówienia, podwójnie niezdolny, kiedy zwracał się do „chluby rodziny”. Poza tym bowiem Adam okazał się równym i lojalnym kompanem. A nadto posiadał pewną cechę wyróżniającą go spośród wszystkich możliwych krewnych. Mianowicie w jego towarzystwie nigdy, ani przez sekundę, nie sposób było się nudzić.

Z początku wyglądało wszystko całkiem inaczej. Z początku, to znaczy wtedy, kiedy matka Darka, Alicja Ryska, pracownica naukowa Bazy Instytutu Biochemii Rejonu Wielkich Planet na Ganimedzie, oświadczyła chłopcu, że Adam zgodził się otoczyć go opieką na czas kręcenia filmu. Darek zaprotestował gwałtownie. Najmłodszego brata swego tragicznie zmarłego ojca nie widział od lat, a w niejasnych wspomnieniach majaczyły mu jedynie – ciemna, rozwichrzona czupryna i śmiech przypominający pracę młota pneumatycznego.

– Adam jest niewiele starszy od ciebie – tłumaczyła matka.

– Opiekun powinien być poważny i doświadczony – odpowiedział ponuro Darek.

– Więc nie chcesz wystąpić w tym filmie? – zagadnęła podstępnie rodzicielka przyszedłego gwiazdora. – Przecież wiesz, że ja teraz nie mogę się ruszyć z Instytutu. Akurat trwa seria bardzo ważnych doświadczeń.

Darek wiedział, że doświadczenia są ważne. Mimo to z uporem obstawał przy swoim.

– To nie przyjmę tej roli – oświadczył z samozaparciem.

Już jednak mówiąc te słowa, nie bardzo wierzył w swoją szczerość. Pokusa była bowiem nie do odparcia. No i miałyby się zmarnować ten przedziwny, wręcz cudowny zbieg okoliczności?...

Wszystko zaczęło się od tego, że do bazy na Ganimedzie przybyła ekipa – ni mniej, ni więcej – tylko filmowców. I to nie któraś tam z kolei grupa wścibskich obieżyświatów pragnących olśnić widzów reportażem z obszaru Wielkich Planet. Nie. Ta ekipa podróżowała od jednego sztucznego satelity do drugiego, buszowała po wszystkich stacjach planetarnych w poszukiwaniu odtwórcy głównej roli w nowym przygodowym serialu holowizyjnym. Zrobili Darkowi próbne zdjęcia i... dalej już nie szukali. Tak właśnie było. Sam Darek nie bardzo wiedział, co o tym myśleć, bo dotychczas jakoś nie wydawał się sobie ani nadzwyczaj przystojny, ani utalentowany, a w ogóle nie marzył o żadnych nadzwyczajnościach, tylko chciał kiedyś skończyć studia i zacząć pracować na swoim rodzinnym Ganimedzie razem z mamą. Ale nawet najzwyczajniejszy i najnormalniejszy chłopiec, kiedy nagle ni stąd, ni zowąd spadnie mu z nieba propozycja zagrania głównej roli w serialu, którym będą się pasjonować miliardy widzów, może doznać zawrotu głowy. Tak było i z Darkiem.

Z tego leciutkiego oszołomienia wyrwała go właśnie wiadomość, że, owszem, będzie mógł polecieć kręcić ten film, ale pod opieką Adama.

– On przecież nawet nigdzie nie mieszka – wygrzebał z zakamarków pamięci kolejny argument, którym chciał przekonać mamę, jak niestosowny był proponowany przez nią kandydat.

– Po cóż reporterowi stały adres? – zareplikowała mama. – A jeśli chcesz wiedzieć, Adam jest uważany za najzdolniejszego dziennikarza Tevopresu. Oni sami tak o nim mówią. Do Tevopresu nie masz chyba zastrzeżeń?

Darek wiedział, że Tevopres jest jedną z najbardziej szacownych centralnych agencji informacyjnych. No i co z tego?

– Ty wiesz przecież, jak ojciec kochał swojego najmłodszego brata – usłyszał wreszcie słowa wypowiedziane cichym głosem, tonem łagodnego wyrzutu.

Na to nie znalazł już odpowiedzi. O ojcu mówiło się w domu niezbyt często. Był wybitnym uczonym, jednym z twórców filii Instytutu na Ganimedzie. Zginął w katastrofie sondy, przeprowadzając badania w atmosferze Jowisza. Wtedy Alicja, jego żona, poprosiła o przeniesienie na Ganimeda. Chciała kontynuować pracę swojego męża i kierownictwo Instytutu uszanowało jej wolę. Od piątego roku życia Darek wychowywał się w jednej, z najdalszych baz naukowych w układzie słonecznym. Skończył zdalnie ziemską podstawówkę i uważał Ganimeda za swoją ojczystą krainę, część Wielkiej Ziemi.

Powołanie się na pamięć ojca przesądziło sprawę. Darek nie powiedział już słowa na temat swego stryja.

W tydzień później przyleciał Adam. Chłopiec przyjął go godnie, chłodno i uprzejmie. To znaczy, postanowił sobie, że tak go przyjmie. W praktyce okazało się to zupełnie niemożliwe. Adam bowiem najpierw obejrzał go ze wszystkich stron, stwierdzając, że podobnej mały na ekranie nikt nigdy jeszcze nie widział i że chociażby dzięki temu film będzie wstrząsający, a następnie niespodziewanie podrzucił go pod sam sufit kabiny, wołając:

– Hura, chlubo rodziny!

– Daj spokój – mitygowała reportera uśmiechnięta Alicja.

– Nie mogę! – zakrzyknął Adam. – Jestem zbyt dumny. Gwiazdorze! – Położył rękę na sercu i perorował z patosem: – Niech promyk twej sławy padnie i na mnie! Choć jeden, najmniejszy promyczek...

Po czym, ku całkowitemu zaskoczeniu osłupiałego chłopca, puścił się w szalony, gorączkowy taniec. Skacząc, podrygując, waląc nogami o podłogę wyjaśniał równocześnie zdyszonym głosem, że jest to taniec triumfalny pewnego plemienia afrykańskiego, który zdobył nagrodę „Czarnej Maski” na ostatnim festiwalu folklorystycznym w Kenii.

Szanowany powszechnie dziennikarz długo jeszcze szalał w najdziwniejszych wygibasach, by następnie z szybkością błyskawicy rozstawić w kabinie swoją aparaturę reporterską i przeprowadzić dla Tevopresu pierwszy wywiad z przyszłym gwiazdorem. O tym, co Darek mówił w czasie tego wywiadu, nikt nigdy nie zająknął się bodaj słowem. Ludzie potrafią czasem okazać miłosierdzie nawet wybrancom losu.

Dalej wszystko potoczyło się jak we śnie. Adam zabrał Darka na Ziemię, gdzie wytwórnia filmowa od razu przystąpiła do kręcenia wstępnych scen. Opowiadały one o dzieciństwie bohatera. To filmowe dzieciństwo Darka było trochę dziwne. Według scenariusza miał on bowiem grać rolę chłopca wychowanego na Ziemi w skrajnie cieplarnianych warunkach. Miał mieć usposobienie ciche i przejawiać jedynie skłonność do naukowych dociekań. Takiego właśnie bohatera postanowiono w filmie przenieść na jakiś niesłychanie daleki i nie mniej dziki glob. Tam spotka dziewczynę wychowaną na stacjach satelitarnych, w kabinach gwiazdolotów i w najdalszych zakamarkach kosmosu. Dziewczynę, dla której prowadzenie rakiety lub samotna podróż w skafandrze przez głowicę komety miały być czymś tak zwyczajnym, jak dla filmowego Darka ścieżynki w ziemskim rezerwacie. Tej swojej partnerki chłopiec dotąd nie widział, bo sceny obrazujące ich dzieciństwo, tak bardzo przecież różne, kręcili osobno. Wiedział tylko, że ma na imię Sonia i, żeby było śmieszniej, nigdy nie wyściubiła nosa poza Ziemię. Powiedziano mu także, że dziewczyna przebywa w

bazie budowniczych nowego miasta w obszarze planetoid. Teraz właśnie miało dojść do ich spotkania. Prawdziwego, a następnie filmowego.

Rakieta wioząca Adama i Darka dobijała już do stacji budowniczych, jej konstrukcja stale powiększała się za iluminatorami. I właśnie w tym momencie Adam poprosił „chlubę rodziny”, by zechciała sobie obejrzeć teren swoich przyszłych sukcesów aktorskich. Które to zaproszenie, jak już wiadomo, acz bez zadowolenia – przecież jednak zostało przyjęte. Darek posłał stryjowi kose spojrzenie, ale posłusznie przytknął nos do sąsiedniego iluminatora.

– Taka mała! – mruknął pogardliwie.

Adam zaśmiał się głośno.

– Nie zdążyli zbudować większej, by godnie przyjąć szanownego gwiazdora – powiedział usłużnym tonem. – Należy im się za to reprimenda. Ale starają się – usprawiedliwiał twórców stacji – to maleństwo jest przecież tylko czymś w rodzaju biura konstrukcyjno-projektowego. Jego załoga zajmuje się budową nowego kosmicznego miasta dla stu tysięcy mieszkańców. Czy wielkość takiego obiektu uznamy za wystarczającą, czy też mam w imieniu gwiazd ekranu zażądać rozbudowy miasta... powiedzmy, do pół miliona?

Ktoś w tylnych rzędach foteli zachichotał. Tego było już Darkowi za wiele.

– Drogi stryju – odezwał się najdonośniej i najgrubszym szeptem, na jaki tylko udało mu się zdobyć – czy musisz się wygłupiać?

Chichot ucichł jak ucięty nożem. Martwą ciszę przerwał po chwili głos Adama.

– Czasem muszę – westchnął z ubolewaniem.

Nagle, nie odrywając nosa od szyby, wybuchnął swoim zwykłym, zdrowym śmiechem. Statek zadygotał, jakby pilot dostał ataku czkawki.

– Gol! – zakrzyknął słynny reporter.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – zainteresował się uprzejmie Darek.

– To miało znaczyć – jeden : zero. Dla ciebie – wyjaśnił Adam. – A teraz patrz, gamoni, bo dobijamy i za chwilę będzie za późno.

Darek chętnie podtrzymałby tę tak obiecującą rozmowę, ale stacja rzeczywiście była tuż-tuż i nie miało sensu tracić jedynej być może okazji, żeby ją sobie obejrzeć. Poprzestał więc na tym częściowym zwycięstwie, nieco tylko osłabionym owym „gamonem”, i na powrót przywarł twarzą do szyby iluminatora.

Stacja była rzeczywiście nieduża. Nieduża, ale dziwna. W niczym nie przypominała nie tylko dwóch pierwszych osiedli pozaziemskich, Leonarda i Błękitnej, ale nawet zwykłych, istniejących w przestrzeni załogowych laboratoriów. Jej niezharmonizowane przybudówki i platformy, sterczące beładnie kratownice, skośne lądowiska i ogromne, jakby portowe wysięgniki sprawiały wrażenie czegoś surowego i obcego. Z czerni kosmosu wynurzały się ażurowe dźwigary, kopulaste bryły z zarysami włazów. Darek zrozumiał, dlaczego tę właśnie stację – biuro konstrukcyjno-projektowe, jak powiedział Adam – postanowiono uczynić miejscem akcji ich filmu. Ten obiekt rzeczywiście gotów był wzbudzić jakąś grozę u ziemskich mieszkańców. Na nim naprawdę mogły się rozgrywać najdziwniejsze przygody, od biedy mógł nawet udawać twór obcej cywilizacji.

Ostatnią rzeczą, jaką chłopiec zauważył, była krawędź niewielkiej platformy z wystającymi szczękami elektromagnesów, po czym za iluminatorem nastała noc. W kabinie statku natomiast zapłonęły wszystkie lampy. To światło dało znać pasażerom, że zawinęli do portu.

Idąc już w stronę otwartej śluzy, Darek spojrzął na zegarek. Według ziemskiego czasu była siódma rano. Tutaj, rzecz, jasna, nic to nie mówiło. Chłopiec gdziekolwiek się znalazł, dostosowywał się od razu do czasu miejscowego, co u kogoś wychowanego na obiektach pozaziemskich było normalnym odruchem. Dlatego zaraz po wejściu do przedsionka stacji spytał odwracając głowę:

– Która godzina?

– Skąd mam wiedzieć – odpowiedział Adam.
– Jest trzynaście minut i siedem sekund po piątej... osiem sekund...
– Dziękuję – powiedział Darek, zwracając się z uprzejmym gestem w stronę automatu z pomarańczową, połyskującą lampkami głową.

– ...dziewięć sekund – zdążył jeszcze wymówić automat, zanim zrewanżował się chłopcu skinieniem poświecającej głowy. Następnie powiedział: – Proszę. Witamy na stacji. Czy przybysze znają drogę do swoich kabin?

Adam z Darkiem przystanęli i rozejrzeli się dokoła. Oprócz nich w kioskowym korytarzu nie było żywego ducha. Tylko oni dwaj wysiedli ze statku, który już ruszał w dalszą drogę, o czym świadczyła szczelnie zamknięta kłapa śluzy.

– Przybysze nie znają – oświadczył w końcu Adam, zwracając się do pomarańczowego.

– Kogo mam przyjemność witać? – spytał niezmiennie uprzejmym tonem automat.

– Adam Ryska.

– Darek Ryska.

Słowa te padły równocześnie. Pomarańczowemu niesprawiło to jednak najmniejszej różnicy. Pomilczał chwilę, pozwalając tylko żywiej błyskać swoim kolorowym lampkom, po czym nagle jakby się ocknął.

– Pan Adam Ryska i pan Darek Ryska proszeni są do dużej pracowni projektowej. Panowie pozwolą, że pójdę przodem – automat ponownie skłonił głowę i wolno potoczył się w głąb korytarza.

Adam i Darek spojrzeli po sobie, po czym ruszyli za nim.

– To tutaj – oświadczyła pomarańczowa głowa, otwierając któreś z rzędu drzwi. – Panowie zechcą wejść, a gdyby wewnątrz nie było jeszcze nikogo, uprzejmie proszę chwilę poczekać. Dziękuję za towarzystwo.

– Czy on tak musi? – bąknął Adam, wchodząc do tonącej w półmroku wielkiej sali.

– To tylko automaty pomocnicze – wyjaśnił Darek tonem bywalca. – Robocze są bardziej rzeczowe.

– Dziękuję za pouczenie – zaśmiał się Adam i rozejrzał się po pomieszczeniu, do którego przyprowadził ich superuprzejmy pomocniczy. Nie znalazł tu jednak widać nic godnego uwagi, bo nagle odwrócił się do Darka, ciągle jeszcze tkwiącego w dość bezradnej postawie przy wejściu.

– Poczekaj tu chwilę – zaproponował z nagłym ożywieniem – a ja rozejrzę się trochę i zaraz wrócę. Jest niby wcześniej, ale ktoś przecież musi czuwać. Jakiś dyspozytor czy ktoś w tym rodzaju. Tylko chwileczkę – zapewnił jeszcze, po czym klepnawszy chłopca lekko po ramieniu, przemknął obok niego i zniknął w korytarzu.

Darkowi niezbyt uśmiechała się perspektywa spędzenia „chwileczki” w tej nieznanej, mrocznej hali, ale nic nie powiedział. Zresztą, zanim się opamiętał, na jakąkolwiek interwencję było za późno.

Piętnastoletni mężczyzna, Ziemianin, obywatel Ganimeda, przyszły badacz obszarów granicznych układu słonecznego, a chwilowo aktor filmowy – nie traci jednak zimnej krwi dlatego tylko, że dookoła jest ciemno i pusto. Toteż Darek nie zastanawiał się długo, zaczerpnął głęboko powietrza i śmiało wkroczył do wnętrza sali. Przy czwartym czy piątym kroku potknął się o jakiś leżący na podłodze kabel, na skutek czego oddalił się od wejścia nieco szybciej, niż wymagały tego okoliczności. Wymachując ramionami, żeby odzyskać równowagę, uderzył dłonią o twardy przedmiot, jakby zawieszony na linie lub umieszczony na wysokim statywie. Zabolało. Ale natychmiast zapomniał o bólu i, tylko odruchowo rozcierając stłuczone miejsce, utkwiał wzrok w przeciwległym rogu sali.

A było na co patrzeć. Potrącając ten niewidoczny w mroku przedmiot, musiał niechcący uruchomić jakiś przekaźnik albo po prostu włączyć kontakt. W każdym razie jeden z narożników wielkiej sali stanął raptem w jaskrawym blasku reflektorów. Ich światło biegło

po kabinie obitej czymś, co przypominało srebrzysty, miękki atlas, lśniło w owalnych okienkach, wyostrzało sylwetkę jakiejś aparatury o dziwnie zaokrąglonych kształtach, wreszcie spływało na rozłożyste nadmuchiwane fotele wykonane z przezroczystej folii. Za tymi fotelami stał półokrągły stół, coś w rodzaju pulpitu czy baru, a na nim...

Darek odruchowo postąpił kilka kroków do przodu. Te buteleczki z kolą, wysmukłe szklanki, kolorowe pojemniki z kanapkami, lodami i ciasteczkami wyglądały doprawdy bardzo apetycznie.

Idąc jak zahipnotyzowany w stronę czarodziejskiego stoliczka, Darek w pewnym momencie pochwycił kątem oka zarysy czyjejs nieruchomej postaci stojącej na granicy cienia. Zatrzymał się natychmiast. A więc jednak nie jest tutaj sam. Przestraszył się, że nieznajomy wyczytał z jego twarzy, jak bardzo przypadł mu do gustu widok nakrytego stołu, i postanowił natychmiast zatrzeć to wrażenie. Zwrócił się do majaczącej w mroku sylwetki i powiedział uprzejmym tonem:

– Przepraszam, nie wiedziałem, że ktoś tutaj jest. Nazywam się Darek Ryska.

Podszedł do obcego i odruchowo wyciągnął dłoń, żeby się z nim przywitać.

Powstrzymał go gruby, chrapliwy głos:

– Dzień dobry. Nie mogę podać ręki. Nie jestem pełnym androidem. Mam tylko głowę i korpus eksperymentalnego automatu pomocniczego.

Darek był już na tyle blisko, że mógł dokładniej przyjrzeć się mówiącemu. Ale i tak zorientował się, z kim ma do czynienia, jak tylko tamten wymówił pierwsze słowo. Z automatami chłopiec był od dawna za pan brat. Na Ganimedzie rzadko jednak spotykało się roboty człekokształtne, androidy, nawet jeśli miały tylko głowę i korpus podobne do ludzkich. Zimno mu się zrobiło na samą myśl, że ten automat mógł w normalny, ludzki sposób odpowiedzieć na jego powitalny gest. Przyjrzał się uważnie wieloczynnościowym kleszczom sterczącym z rękawa niby długie, zakrzywione szpony i postanowił sobie w duchu, że odtąd nie będzie tutaj do nikogo pierwszy wyciągał ręki.

– Przywitałeś się z automatem? – usłyszał nagle za sobą znajomy, wesoły głos.

Odwrocił się i mimo woli odetchnął z ulgą.

Kamerzysta Bo Ytterby, z którym Darek zawarł już bliższą znajomość na Ziemi podczas kręcenia pierwszych scen filmu, wyłonił się z mroku i podszedł do chłopca.

– Cześć – powiedział uśmiechając się zachęcająco. – Po uroczystościach powitalnych zechcesz może teraz coś przekąsić – wskazał lśniący w świetle reflektorów stół.

Darek przesłiznął się spojrzeniem po młodej, opalonej twarzy filmowca i postanowił nie dać się prosić.

– Chętnie – mruknął ruszając żwawo z miejsca.

Z nie mniejszą energią sięgnął do pierwszego z brzegu pojemnika, w który ktoś włożył smakowicie wyglądające kanapki i... musiał znowu gwałtownie zamachać ramionami, żeby nie upaść. Jego dłoń przygotowana na spotkanie z pysznościami spoczywającymi na solidnym, choć dziwnie eleganckim stole, przeszła bowiem powietrze. Równocześnie – za plecami Darka – Bo eksplodował w napadzie nieposkromionej wesołości.

Chłopiec wyprostował się z godnością.

– Nie widzę w tym nic zabawnego – wycodził przez zęby.

Ytterby jakby tylko na to jeszcze czekał. Jego śmiech odbił się gromkim echem od ścian ogromnej sali.

– Nic za-baw-ne-go – wykrztusił z trudem. – Cha! cha! cha! Chciał zjeść atelier! To mi dopiero artysta! Nic zabawnego! Cha! cha! cha!

Darek odwrócił z niesmakiem oczy od widoku słaniającego się na nogach kamerzysty i ponownie, już bardziej trzeźwo, chociaż nie bez pewnego żalu, utkwiał wzrok w pięknie nakrytym stole. Atelier? Tak, oczywiście... Przecież takie bajecznie kolorowe ściany niby to obiektów pozaziemskich, takie „piękne” fotele, atłasy i w ogóle lśniące, opływowe sprzęty

widuje się tylko na filmach! A dawno już minął czas, kiedy to, aby nakręcić na przykład scenę rozgrywającą się w miasteczku na Dzikim Zachodzie, trzeba było zbudować całe takie miasteczko, choćby tylko z drewna i tektury. Dziś scenografię zastępuje fotografia przestrzenna. To znaczy wyświetlanie takich trójwymiarowych fotografii. Darek przecież, podobnie jak wszyscy ludzie, miał stale do czynienia z hologramami, a także holowizją. Innych filmów niż trójwymiarowe po prostu nie było, i to od niepamiętnych czasów. Krótko mówiąc, zamiast pięknej kabiny, stołu i kanapek miał teraz przed sobą tylko fotograficzną scenerię jakiegoś fragmentu filmu, w którym sam grał jedną z głównych ról. Że też dał się tak nabrać!

– Zgaś to – burknął odczekawszy, aż Bo wyśmiej się do syta. – A w ogóle – dodał – czy tutaj musi być tak ciemno?

– Nie musi – odpowiedział wesoło zagadnięty.

Nie przestając się uśmiechać potrząsnął głową, odgarnął długie jasne włosy, które opadły mu na oczy, po czym podszedł do jakiegoś urządzenia i przekręcił kontakt. Atłasowa kabina z jej okienkami, nadymanymi fotelami i stołem zastawionym smakołykami zniknęła jak zdmuchnięta. Równocześnie całą salę zalało jasne, łagodne światło.

– To nasz warsztat – Bo Ytterby zatoczył dłonią łuk, prezentując pomieszczenie. – Tutaj nakręcimy kilka ujęć. Przede wszystkim wasze spotkanie z Sonią. Potem... – urwał i uśmiechnął się zagadkowo.

Darek nie znał dokładnie scenariusza, ale domyślał się, że potem przyjdzie kolej na ciekawsze zdjęcia. Starty rakiet, sceny w kosmosie, na jakichś nieznanych globach. W tej chwili jednak chłopiec nie zastanawiał się nad swoją rolą. Korzystając z tego, że Bo nareszcie zapalił światło, rozglądał się ciekawie po ich nowym atelier. Teraz sala nie wydawała się już tak przestronna, jak przed chwilą, kiedy tonęła w półmroku. Pamiętając jednak o niewielkich rozmiarach całej stacji, Darek i tak był pewien, że znajduje się w najobszerniejszym pomieszczeniu, jakie ma do dyspozycji tutejsza załoga. Tutaj pewnie przygotowywano projekty poszczególnych dzielnic, poziomów i urządzeń nowego kosmicznego osiedla, o czym świadczyły odsunięte teraz pod ścianę deski kreślarskie, pulpity robocze, kalkulatory i inne aparaty. Chłopiec wyobraził sobie, jak bardzo pracujący tu architekci musieli być zachwyceni z powodu przeprowadzki do innych, zapewne znacznie ciasniejszych pokoi. A przecież to, co oni robili, to było naprawdę coś, nie jakaś tam zabawa w przygodowy serial dla młodzieży.

Właśnie otwierał usta, żeby podzielić się z Bo ostatnią swoją myślą, kiedy na salę wtargnął jakiś stwór. W pierwszej chwili Darek pomyślał, że ma przed sobą rozregulowany automat pracujący na przyspieszonych obrotach. Ale to nie był automat. Tak całkowicie bez sensu mógł zachowywać się tylko przedstawiciel pewnego żywego gatunku zamieszkującego układ słoneczny.

– Gdzie jest Lwizwis?! – kwiknął stwór nacierając na Darka pękatym brzuchem wciśniętym w łśniąca, fioletową kurteczkę.

Chłopiec odruchowo cofnął się, a że dotąd nie zdążył zamknąć ust (otwartych dla wyrażenia ubolewania nad niedolą architektów), więc tym bardziej teraz nie znalazł powodu, by zamknąć je na powrót.

– Znowu jakiś ogłupiały automat – jęknął fioletowy, zwracając się z kolei do Bo, który jednak przezornie umknął za najbliższą stojącą statyw kamery.

– Lwizwis! Lwizwis! – głos brzuchacza był piskliwy i brzmiała w nim ostateczna rozpacz. Dziwnie nie zgadzał się ten głos z wielką i łysą jak kolano głową wołającego, z jego twarzą, jakby skazaną na wieczne zatroskanie, i z całą sylwetką, niewysoką, lecz zwalistą i przypominającą zniekształcone osobiście jajo wsparte na dwóch laskowych orzechach.

– Wszystko się wali! – wrzasnął żałośnie, po czym niespodziewanie ruszył pełnym biegiem prosto w kierunku chłopca. – Z drogi, nędzny robocie! – wykrzyknął przelatując obok Darka, który w ostatniej chwili iście bokserskim unikiem uratował się przed katastrofą.

– Lwizwis! Lwizwis! – zapiszczało oddalające się echo w korytarzu.
 Po dłuższej chwili chłopcu udało się zamknąć usta. Nie mniej czasu potrzebował, żeby otworzyć je znowu.

– Co to było? – spytał osłupiały.

Bo, krztusząc się ze śmiechu, wylażł ostrożnie zza kamery.

– Nie co, tylko kto – odpowiedział z udaną naganą w głosie. – Nasz nowy kierownik produkcji. Nazywa się Knut Werwus i uważa, że jest w naszej ekipie jedynym człowiekiem odpowiedzialnym. – Bo nadął się, wzniosł wskazujący palec i, naśladując głos grubasa, wyrecytował: – Jeśli wiecie, co to znaczy być człowiekiem odpowiedzialnym...

Darek rozchmurzył się. Przedwcześnie.

W korytarzu zabrzmiał szybki tupot nóg i do sali ponownie wpadł Werwus. Biegł, zmierzając ku przeciwnemu wejściu, i nieszczęście chciało, że chłopiec znowu znalazł się na jego drodze.

– Tam go nie ma! – pisał człowieczek. – Znowu tu jesteś?! – natarł na Darka. – Te automaty pętają się po całym tym zwariowanym pudle, które tylko patrzeć, jak rozsypie się na sto tysięcy śrubek!

W tym momencie zauważył Bo, który – zaskoczony – nie zdążył wleźć za kamerę.

– A ty co tu robisz?! – ofuknął go grubas. – Jeszcze jeden automat!

Wzniósł oczy do góry, ale natychmiast je opuścił, jako że ani przez chwilę nie zwolnił tempa biegu, a na podłodze walały się najrozmaitsze kable.

– Powiedzmy, niezupełnie automat – sprostował łagodnie Bo.

– Cicho bądź, stara konserwo! – zgromił go już od drzwi kierownik produkcji.

Tego było za wiele. Sala rozbrzmiała zgodnym dwugłosem, w którym „cha! cha! cha!” kamerzysty musiało chwilami uznać wyższość histerycznego „hi! hi! hi!” przyszłego gwiazdora holowizji. Werwus zahamował raptownie i cisnął im z głębi korytarza:

– Automaty się nie śmieją! Automaty pracują! Przekłete nieroby!

Wypuściwszy tę strzałę, która zamiast ostatecznie zmiażdżyć parę zuchwalców przyprawiła ich o nowe konwulsje śmiechu, grubas zniknął im z oczu. Skądś, z daleka, dobiegło po chwili cieniutkie:

– Lwizwis! Lwizwis!.

Darek otarł łzy, po czym nagle spoważniał. Przyszło mu na myśl, że filmowcy zdążyli się już zadowolić w tej stacji.

– Jak długo tutaj jesteś? – spytał.

Bo wzruszył lekceważąco ramionami.

– Przylecieliśmy przedwczoraj. Lwizwis, Grath, Werwus i ja. No i, rzecz jasna, Sonia. Dzisiaj zabieramy się serio do roboty. Tak przynajmniej zapowiedział Lwizwis.

– Kto to jest?

– Nie wiesz? Główny reżyser naszego serialu. Tylko pierwsze sceny kręcił w jego zastępstwie operator Patka. Z kolei dzieciństwo Soni filmował także ktoś inny. Reżyser postanowił osobiście kierować zdjęciami dopiero od sceny waszego spotkania. Aha – przypomniał sobie – Patki nie będzie.

Darek zmarkotniał. Starszy, dobrotliwy pierwszy operator wytwórni umiał oddziaływać kojąco na stremowanych aktorów, nie mówiąc już o kimś, kto ewentualnie miał dopiero zostać aktorem. W każdym razie chłopiec zdążył się do niego przyzwyczaić.

– Czemu? – spytał smętnie.

– Ma grypę – odpowiedział Bo. – Zamiast niego przyleciał drugi operator, Joe Grath.

Darek odniósł niejasne wrażenie, że wymawiając to nazwisko, Bo Ytterby lekko się skrzywił. Ale mogło mu się tak tylko zdawać. Zresztą po chwili znowu odbiegł myślą od wszystkich kwestii związanych z jego tak niespodziewaną filmową karierą.

– Czy tutaj naprawdę jest tak dużo automatów? – spytał, odruchowo wędrując spojrzeniem ku nieruchomej postaci z kleszczami zamiast dłoni.

Bo uśmiechnął się.

– Może nie aż tyle, jak to sobie wyobraża Werwus – powiedział pogodnie – ale cała załoga stacji liczy zaledwie kilkanaście osób. To przecież teren budowy. Miasto wznoszą maszyny, a ludzie tylko koordynują i nadzorują ich pracę. Muszą mieć stosunkowo więcej automatów niż ci na Leonardzie czy Błękitnej.

– Błękitna – powtórzył Darek w zamyśleniu. – Podobno piękne miasto?

Bo pokiwał głową.

– Jak na mój gust za duże. To znaczy wolę ziemskie miasta, jeśli już mają te trzydzieści tysięcy mieszkańców. Ale wszyscy, których tam spotkałem, są Błękitną zachwyceni.

– Byłem na Leonardzie – powiedział po chwili chłopiec.

Mimo woli stanęła mu przed oczami ta podróż z mamą i... ojcem. To było krótko przed jego śmiercią. Ojciec opowiedział mu wtedy historię budowy Leonarda, pierwszego sztucznego osiedla krążącego wokół Ziemi. Zaprojektowano je dla tysiąca mieszkańców. Drugie kosmiczne miasto, Błękitna, powstało już na orbicie wokółmarsjańskiej i stanowiło bazę wypadową na tę interesującą planetę – z jej kopalniami, zdalnie sterowanymi fabrykami, rezerwatami przyrodniczymi i małymi osadami naukowców. Teraz budowano to trzecie, znowu dalej od macierzystej planety ludzi, między Marsem a Jowiszem, czyli w obszarze planetoid. Nie chciano zbyt gęsto zagęszczać przestrzeni wokół Ziemi, tym bardziej że obsługa szlaków raketowych już i tak z największym trudem radziła sobie z rosnącym nieustannie ruchem.

– Leonardo, Błękitna... A jak będzie się nazywać to nowe miasto? – spytał Darek, otrząsnąwszy się z niewesołych wspomnień.

– Jeszcze nie wiadomo – odpowiedział Bo. – Na Ziemi rozpisano konkurs na najładniejszą nazwę. Kto wie – uśmiechnął się – może użyć mu swego imienia któryś z bohaterów naszego filmu? Darek Ryska. Jakby ci się to podobało? Gdzie mieszkasz? Na Darku. Czy może powinno się mówić: w Darku? – zasumował się.

Chłopiec chciał odpowiedzieć, że jeśli księżyc Jowisza może nosić nazwę Io, to aż się prosi, by któryś ze sztucznych satelitów ochrzcić równie lapidarnym: Bo, ale nie zdążył. W korytarzu zabrzmiały zmieszane głosy i po chwili w drzwiach ukazała się potężna sylwetka starszego mężczyzny z bujną siwą czupryną, a za nim... za nim... Krótko mówiąc, za nim kroczyło zjawisko. I to olśniewające.

Złocista blondynka w białej, powiewnej bluzeczce skrojonej w stylu kosmicznym i króciuteńkiej spódniczce. Długie, opalone nogi, o jakich mogą tylko marzyć dziewczęta, które nie wygrywają konkursów na główne role w filmach. Twarzyczka zjawiska miała wyraz podobny do tego, który Darek zapamiętał z wycieczki do muzeum, kiedy to nauczyciele pokazywali im, jak starożytni wyobrażali sobie istoty nieziemskie (oczywiście w innym znaczeniu tego słowa, niż bywa ono używane teraz).

Niewinna buzia – z dużymi, błękitnymi oczami, nieco, ale tylko nieco, zadartym nosem i wykrojonymi jak u prawdziwej gwiazdy ustami – była już całkiem blisko, kiedy chłopiec oprzytomniał na tyle, żeby dostrzec także innych przybyłych. Za dziewczyną i siwym olbrzymem podążała młoda kobieta oraz wysoki, chudy mężczyzna z rzadkimi, rudawymi włosami. Orszak zamykała dziwnie przygarbiona i niepozorna postać. Był to mężczyzna niezbyt nawet stary, ale o wyblakłej, jakby wymiętej twarzy i smutnych, przymglonych oczach.

– Dzień dobry, Ziemianinie – zabrzmiał przed Darkiem bas należący do siwego. – No, poznajcie się.

Chłopiec przyjrzał się mówiącemu. Spod bujnych, niesłyszanych rozrośniętych brwi patrzyły uśmiechnięte, piwne oczy, ich spojrzenie podnosiło na duchu. Śmieje już przeniósł

wzrok na anielskie zjawisko. Idący z tyłu zatrzymali się i nastała cisza. Miała oto nastąpić Wielka Chwila, czyli wzajemna prezentacja pary bohaterów filmu.

– Dzień dobry – wykrztusił Darek.

Gdy tylko usłyszał swój głos, zrozumiał, że nie stanął na wysokości zadania. Zupełnie jakby w jego gardle zamieszkał młody gawron i teraz akurat postanowił obwieścić światu o swym istnieniu.

Zjawisko uniosło nieskończenie wdzięcznym ruchem prawą rączkę i wskazało chłopca długim, wysmukłym palcem.

– To on? – padło z malowanych usteczek. – Phi... – Temu ostatniemu dźwiękowi towarzyszył gest zgoła nieanielski.

Darek, ściągnięty nagle z obłoków na ziemię, poczuł, że ta ziemia, jeśli można tak powiedzieć o podłodze konstrukcji zawieszanej między Marsem a Jowiszem, usuwa mu się spod nóg. Równocześnie jednak zaczął w nim narastać bunt. „Jeśli ktoś tak wygląda – pomyślał – to ma obowiązek zachowywać się, jakby naprawdę był uosobieniem wszelkich możliwych cnót”.

– On – przytaknął gwałtownie. – A co – dodał zaczepnie – nieładny?

W głębi sali ktoś parsknął i natychmiast umilkł.

Dziewczyna jakby teraz dopiero raczyła przyjąć do wiadomości, że stojący przed nią chłopiec jest żywą istotą. Uniosła odrobinę główkę. W jej błękitnych oczach odmalował się wyraz pewnego zaciekawienia.

Darek nie przeceniał własnej urody. Doskonale zdawał sobie sprawę, jaki widok ma teraz przed tymi bajecznymi oczętami złotowłose zjawisko. Mimo to przybrał wyzywający wyraz twarzy. Niech patrzy. Mężczyzna nie musi być piękny. Zupełnie wystarczają mu kasztanowe włosy, które tylko „życzliwi” koledzy nazywają rudymi, szare oczy umiające wypatrzeć statek kosmiczny, wtedy kiedy inni widzą go jeszcze tylko na ekranach, nos, niechby nawet zadziorny, ale bądź co bądź niepodobny do kartofla, usta wystarczająco szerokie, żeby uśmiechnąć się prawdziwym, nie aktorskim uśmiechem, a także podbródek, dostatecznie męski, by tej cennej cechy nie osłabiła tkwiąca w samym jego środku okrągła dziurka. Jeśli chodzi o wzrost, wystarczyłoby nawet mniej niż te sto siedemdziesiąt sześć centymetrów, które ponad wszelką wątpliwość nie są jeszcze jego ostatnim słowem. Co do nóg – wyglądałyby zapewne inaczej niż jej, gdyby włożył taką kusą spódniczkę. Ale po pierwsze, nigdy nie będzie nosił kusej spódniczki, a po drugie, te nogi były dostatecznie dobre, kiedy przyszło reprezentować Rejon Wielkich Planet na dorocznych międzyszkolnych zawodach. A reszta? Co za reszta? Ręce ma najwyżej o kilka milimetrów dłuższe, niżby to wynikało z proporcji przewidzianych przez atlas anatomiczny. Jego ramiona rozrosną się, nie za rok, to za dwa. Już teraz niewiele im brakuje. Garbu nie ma. Brzucha też. W każdym razie takiego, żeby go musiał wciągać na plaży. Proszę bardzo. Niech patrzy. W końcu filmowcy wybrali akurat jego, dokładnie tak samo jak ją. A nie zależało im przecież, żeby główną rolę rolę jej partnera, powierzać potworowi.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI